

TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

# **NASI OKUPANCI**

# Tadeusz Boy-Żeleński

## Nasi okupanci

[http://www.litres.ru/pages/biblio\\_book/?art=23528034](http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23528034)

*Nasi okupanci:*

### **Аннотация**

Nasi okupanci to zbiór felietonów Tadeusza Boya-Żeleńskiego wydany w 1932 roku. Autor porusza w nich problematykę związaną z aspektami seksualności, małżeństwa i macierzyństwa, konfrontując realia społeczne z nakazami wywodzącymi się z nauki Kościoła katolickiego. Przez tego typu publikacje Boy narażał się duchownym oraz ortodoksyjnemu społeczeństwu, zyskał jednak rozgłos wśród środowisk świeckich zajmujących się świadomym macierzyństwem i ułtawianiem rozwodów. W swoich artykułach atakuje zapatrzoną w dogmaty kleru i dewocyjne otoczenie, mimo to głosi, że istnieje duże zapotrzebowanie na rozsądnych i zważających na ludzkie potrzeby księży. Tadeusz Boy-Żeleński to jeden z najśłynniejszych polskich krytyków literackich, eseistów i tłumaczy, którego twórczość przypada głównie na pierwszą połowę XX wieku. W swoich esejach komentował zarówno życie literackie, jak i angażował się społecznie – propagował edukację seksualną i świadome macierzyństwo, występował jako obrońca praw kobiet.

# Содержание

Od autora	4
Nowa ustawa małżeńska	6
„Łopatologia”	18
List biskupi	26
Drugi list biskupi	33
Nasi okupanci	36
Конец ознакомительного фрагмента.	41

# Tadeusz Boy-Żeleński

## Nasi okupanci

### Od autora

Każdemu prawie w Polsce dziś wiadomo, że zjawił się Antychryst, noszący miano Tadeusz Żeleński, a pseudonim Boy. Wyklinają go z ambon, wypisują o nim niestworzone rzeczy w różnych mniej lub więcej świątobliwych pismach i pisemkach. Ba, kiedy ów Boy chce wygłosić odczyt, bodaj o poecie sprzed pięciu wieków, urządza się całe krucjaty, aby nie dopuścić do tego zgorzenia. Równocześnie *Sodaliczja Pań* w Krakowie odprawia zbiorowe modły „o nawrócenie się Boya”. (Autentyczne!).

Skąd się to wszystko wzięło? Z paru moich wystąpień w prasie. Antyreligijnych, bezbożnych? Ani trochę. W tych sprawach w ogóle nie zabieram głosu; raczej skłonny jestem powiedzieć z dobrym Villonem: „...chudziak ja ubogi – nie mnie rozprawiać tak podniosło – niech o tym sądzą teologi – to kaznodziei jest rzemiosło...”. Poszło o sprawy świeckie. Bardzo nad tym boleję; ale cóż począć, że gdziekolwiek wyłoni się pałaca kwestia, w której ludzie głowią się i radzą, co czynić, aby na świecie było trochę lżej i trochę jaśniej, natychmiast wysuwa się złowroga czarna ręka i rozlega się

grzmiący głos: „Nie pozwalamy! Nie wolno wam nic zmienić, nic poprawić. Wszystko musi zostać po dawnemu; niczego tknąć nie pozwolimy w gmachu ciemnoty i ucisku. Ktokolwiek chciałby ulżyć doli człowieka na ziemi, sprzeciwia się prawu Boga, sprzeciwia się woli bożej”.

Nie mogę w to uwierzyć. Mimo całego autorytetu tych specjalistów od interpretowania życzeń Stwórcy wszechrzeczy, nie mogę uwierzyć, aby wola boża miała być zawsze i wszędzie układna wobec bogaczy, a bezlitosna dla biedaków; aby osłaniała swym płaszczem kłamstwo, okrucieństwo i chciwość. To musi być jakieś nieporozumienie. Obawiam się, że nawet modły *krakowskich pań* – mimo że skądinąd tak wiele krakowskim paniom zawdzięczam – nie sprawią, abym w to uwierzył.

Zebrałem tedy tutaj inkryminowane artykuły, aby ułatwić ogółowi rozpatrzenie się w tym doniosłym przez swą treść zatargu. Daję je umyślnie bez zmian, tak jak były pisane<sup>1</sup>, choćby nawet przez wzgląd na aktualność wymagały dziś pewnych przeobrażeń.

Niech ludzie dobrej woli czytają i sądzą.

Warszawa, w kwietniu 1932.

---

<sup>1</sup> bez zmian, tak jak były pisane – Materiał polemiczny znajdzie czytelnik na końcu w *Przypisach*. [przypis autorski]

# Nowa ustawa małżeńska

Spośród prac, które zyskały mi trochę cichego uznania, a dużo głośnych oburzeń, najwięcej hałasu wywołała mała książeczka pt. *Dziewice konsystorskie*. Miała kilka wydań, zrodziła powódź artykułów, enuncjacji. Dostała – wiem to poufnie – tego szczytu, że zainteresował się nią Watykan. Byłem tym wszystkim trochę zdziwiony. Bo przecież książeczka ta nie zawierała absolutnie nic, o czym by nie wiedzieli wszyscy; o czym by, mówiąc trywialnie, wróble nie świergotały na dachach. Stwierdziła, że wbrew wszelkim dogmatom i kanonom istnieją – pod mianem unieważnień małżeństwa – najautentyczniejsze katolickie rozwody, ale dostępne jedynie najzamożniejszym: cenzus majątkowy to ich jedyny istotny warunek, poza tym wszystkie trudności można obejść i usunąć. Że istnieje cała armia adwokatów tzw. konsystorskich, którzy z niewyczerpaną pomysłowością inscenizują te małe komedyjki. Dostarczają fałszywych świadków, aranżują krzywoprzysięstwa, płodzą usługowe świadectwa lekarskie, z mężatek i matek dzieciom robią patentowane dziewice, z najnormalniejszych kobiet rzekome lesbijki i uczą je zeznawać w tym duchu; słowem, kruczków i sposobów mają moc, oczywiście wszystko podług taksy, i to słonej.

To dla wybranych. Średniacy mają inny sposób: zmienić wiarę. Zmiana wiary dla celów rozwodowych stała się czymś

najpotoczniejszym. Dyskutuje się ją na zimno w kancelarii adwokata w kosztorysie, ile że jest znacznie tańsza od rozwodu cysto katolickiego i o wiele szybsza.

Są wszakże ludzie, których mierzi to, aby tak ważne i poważne sprawy nie mogły być załatwiane inaczej niż szwindlem. „Prawo nie może zmuszać obywatela do kłamstwa” – pisał w dyskusji o ustawodawstwie małżeńskim prof. Wł. L. Jaworski, gorliwy katolik. Cytowałem wypadek pewnego dostojnika państwowego, który, sam katolik, syna dał ochrzcić w kościele ewangelickim, „iżby mógł przejść przez życie jako uczciwy człowiek”. Rzecz staje się szczególnie rażąca, gdy chodzi o wybitne jednostki, o dygnitarzy, których fałsz ściga nawet po śmierci i przy których trumnie odbywają się gorszące sceny oszukańczych rewindykacji religii, którą porzucili.

To jest zatem niejako *pierwsza i druga klasa* rozwodów. Ale i ta druga jest kosztowna, byle kto sobie na nią nie może pozwolić. *O trzeciej klasie* nie ma co mówić. Tu reguluje sprawy małżeńskie na wsi często arszenik i siekiera, w mieście załatwia się to na dziko, po prostu porzuceniem, konkubinatem, bez żadnej ochrony kobiety i dziecka.

Notowałem dalej, że załatwianie rozwodów przez zmianę wiary nie obywa się bez chaosu prawnego. Katolik, który weźmie w kościele protestanckim ślub z protestantką – a ileż dziś takich ślubów! – może w swoim konsystorzu uzyskać rozwiązanie małżeństwa bez najmniejszych trudności, wręcz bez zawiadomienia drugiej strony – nawet w razie istnienia

dzieci! – przy czym sądy państwowe, terroryzowane przez sądy arcybiskupie, raz taki rozwód i jego cywilne następstwa uznają, innym razem nie, jak się zdarzy. Z dnia na dzień kobieta może się dowiedzieć, że została na bruku, z dziećmi, bez męża i bez ochrony prawnej.

I rzecz osobliwa: raz po raz pojawia się pełne namaszczenia orędzie dowodzące, że wszystko powinno zostać tak jak jest i że wszelka zmiana w tych gorszących i zohydżających samą religię stosunkach byłaby naruszeniem „podstaw społeczeństwa i rodziny”! A przecież w tej części Polski, która uchodzi za najtrwalszą opokę religii i rodziny – w b. zaborze pruskim – istnieje rozdział ustawodawstwa cywilnego od kościelnego. W Królestwie Polskim śluby wyłącznie kościelne są instytucją narzuconą swego czasu przez Rosję, wbrew tradycjom kodeksu napoleońskiego i wbrew woli społeczeństwa.

Rzecz prosta, że te czynniki, które mają za zadanie zaprowadzić w budującej się nowej Polsce ład i praworządność, nie mogły – mimo całej kurtuazji dla sfer duchownych – podzielić tego stanowiska i uznać, że chaos, szalbierstwo i przywilej bogaczy mają wciąż pozostać jedyną normą prawną regulującą konflikty życia małżeńskiego. Wiadomo było od dawna, że nasza komisja kodyfikacyjna pracuje nad nowym ustawodawstwem małżeńskim. Prace te otaczała komisja aż nazbyt głęboką tajemnicą, tak bardzo rzecz wydawała się drażliwa. Szeptano sobie, że podobno nawet prace te są od dawna ukończone; że projekt – od kilku lat gotowy –

przeszedłszy potrójny filtr redakcji, spoczywa w biurku ministra sprawiedliwości, zagwoźdżony tam wpływami czynników, które udaremniają normalny bieg tej ustawy. O treści ustawy również chodziły tylko głuche wieści, ponieważ komisja postanowiła, że ani jeden egzemplarz projektu nie wyjdzie poza jej biuro.

W końcu sytuacja zaczęła być skandaliczna. Można się było słusznie zapytać, kto właściwie w Polsce rządzi? Wreszcie po kilku latach komisja kodyfikacyjna zdecydowała się przerwać tę konspirację. W najbliższych dniach<sup>2</sup> główny twórca ustawy małżeńskiej, prof. Lutostański, ma ją przedstawić i skomentować w „stałej delegacji zrzeszeń i instytucji prawniczych”, po czym – jak słychać – projekt ma być rozesłany odpowiednim czynnikom i skierowany na właściwą drogę.

I znowuż jak w tylu sprawach, jak wówczas, gdy chodziło o nowy kodeks karny, trzeba się dziwić bierności, z jaką społeczeństwo oczekuje, co – bez jego udziału – zdecyduje ktoś o jego losie i w czym potem bezradnie tkwić będą całe pokolenia. Tutaj bierność ta jest jeszcze bardziej uderzająca. Nie każdy siedzi w kryminale (choćby skądinąd na to zasłużył), ale każdy – czy prawie każdy – się żeni. I ani się kto spyta, jaka ta ustawa będzie, ani co się z nią dzieje!

Otóż skusiło mnie popełnić tutaj niedyskrecję. Odślonię wam rąbek tego, o co niebawem rozpoczną się zapewne zacięte boje. A może wcale się nie rozpoczną, może znów ktoś potrafi ukreślić temu kark w ciszy gabinetu? W każdym razie, niech się ludziska

---

<sup>2</sup> W najbliższych dniach – Pisane w październiku r. 1931. [przypis autorski]

dowiedzą, co o nich postanowiła nasza komisja kodyfikacyjna i jakie główne punkty zawiera projekt nowej ustawy małżeńskiej, ustawy – powiedzmy to od razu – rozumnej i odważnej, mimo iż z pewnością poszczególne jej punkty, rzucone w grono mężczyzn lub kobiet, nastroczyłyby tematu do dyskusji co najmniej tyle, co niedawno grana w teatrze *Nowa umowa małżeńska* Bernarda Shaw. Ileż tematów dla dramatu czy komedii kryje bodaj ten arcypostępowy artykuł rozdziału o narzeczeństwie:

Art. 6. Jeżeli narzeczony, z którym niewiasta zaszła w ciążę, umarł lub bez słusznego powodu odstąpił od zaręczyn, albo dał narzeczonej słuszny powód do odstąpienia, narzeczona może żądać przyznania jej od narzeczonego lub jego spadkobierców praw majątkowych na równi z żoną rozłączoną z winy męża.

Miałbym tu pokusę się wtrącić... Ale nie; celem mego felietonu nie jest dyskutowanie ustawy, ale po prostu poinformowanie czytelników o jej treści i brzmieniu.

Główny punkt zainteresowania skupia się na artykułach wprowadzających zdecydowanie śluby cywilne, z tym wszakże, że ślub kościelny może w zupełności ślub cywilny zastąpić i że wówczas nie ma już obowiązku brania podwójnego ślubu. Oto dotyczące paragrafy:

Art. 24. Po dopełnieniu czynności przedwstępnych przed właściwym urzędnikiem stanu cywilnego, narzeczeni mogą zawrzeć ślub, składając przed urzędnikiem stanu cywilnego *albo przed duszpasterzem* zgodne oświadczenie w przytomności dwóch świadków, że zawierają dożgonny związek małżeński.

Art. 25. Ślub może być zawarty przed którymkolwiek urzędnikiem stanu cywilnego Rzeczypospolitej Polskiej albo przed duszpasterzem uznanego w Polsce wyznania, do którego należy jedno z narzeczonych.

Art. 26. Ślub przed duszpasterzem ma skutek cywilny na równi ze ślubem zawartym przed urzędnikiem stanu cywilnego, o ile przedstawiono protokół urzędnikowi stanu cywilnego celem sporządzenia aktu małżeńskiego.

Artykuły te uzupełnia *Projekt ustawy o aktach stanu cywilnego*, który stanowi:

Art. 176. Duszpasterz, przed którym zawarto ślub, sporządza protokół ślubu w 3 egzemplarzach, w księdze protokółów ślubu. Wszystkie 3 jednobrzmiące egzemplarze podpisują nowożeńcy, świadkowie oraz duszpasterz.

Jeden egzemplarz protokołu wydaje duszpasterz zaraz nowożeńcom celem złożenia go urzędnikowi stanu cywilnego miejsca zawarcia ślubu; drugi egzemplarz sam przesyła temuż urzędnikowi stanu cywilnego; trzeci, grzbietowy, zachowuje u siebie.

Pomysłowy ten sposób, dzięki któremu ślub kościelny staje się niejako automatycznie ślubem cywilnym, miał na celu uszanowanie uczuć religijnych, które mogłaby razić konieczność dopełniania ślubu dwa razy, cywilnie i kościelnie. Tymczasem, rzecz znamienna, właśnie ten kompromisowy pomysł stał się kamieniem obrazy i najwięcej podobno natyka się na sprzeciw w sferach duchownych. Woleliby raczej osobne śluby cywilne

niż ten proceder, w którym akt ślubu z podpisem księdza może się stać później punktem wyjścia ewentualnego postępowania rozwodowego.

W rozdziale o małżeństwie zwracają uwagę artykuły stanowiące zupełną równość praw i obowiązków obojga małżonków:

Art. 32. Każdy z małżonków obowiązany jest przyczyniać się wedle swej możliwości do ponoszenia ciężarów utrzymania rodziny.

Art. 40. Żona może obok nazwiska męża zatrzymać rodowe, jeżeli to zastrzeże w akcie małżeństwa.

Art. 41. Mąż i żona mają równe prawa i równe obowiązki wobec dzieci.

Art. 42. Mąż i żona wspólnie sprawują władzę rodzicielską. W razie niezgodności rozstrzyga ewentualnie sąd.

Daleko odbiegliśmy od tak niedawnej jeszcze przysięgi „posłuszeństwa”!

Przechodzimy do kapitalnego punktu, jakim jest rozdział *Rozłączenie i rozwód*, tu bowiem mieści się istotny sens małżeństwa cywilnego. Nie tylko projekt ustawy przewiduje rozwód, ale czyni rozróżnienie między stadłami, które mają dzieci, a które ich nie mają. Dla małżeństwa bezdzietnego wystarczy po prostu zgodna wola obu stron, oczywiście przy odpowiednim – aż nadto długim! – czasie trwania postępowania rozwodowego:

Art. 54. Małżonkowie w wieku powyżej 25 lat, niemający

wspólnie małoletniego potomstwa, zdolni do działań prawnych, mogą za zobopólną zgodą po 3 latach trwania małżeństwa, wystąpić do sądu z prośbą o rozłączenie (separację) bez podania powodów.

Art. 55 i 56. Sąd wezwie ich i po wyjaśnieniu prawnych skutków spyta, czy trwają w zamiarze: jeżeli tak, postanowi rozłączenie na rok jeden i orzeknie po wysłuchaniu wniosków małżonków w sprawie ich zamieszkania oraz ciężarów utrzymania.

Art. 57. Jeżeli po roku potwierdzą to, sąd orzeknie rozłączenie na czas nieograniczony, nie uznając winy żadnego z małżonków.

Po trzech latach, ewentualnie wedle uznania sądu wcześniej, rozłączenie to może przejść w rozwód, anulujący zupełnie małżeństwo.

Inaczej przedstawia się rzecz tam, gdzie są dzieci: tu już do rozłączenia trzeba powodów.

Art. 58 określa szereg punktów, w razie których sąd może postanowić rozłączenie na żądanie jednego z małżonków, jeżeli uzna, że względ na dobro małoletnich dzieci nie stoi temu na przeszkodzie, oraz jeżeli stwierdzi trwały rozkład pożycia. Powodami takimi są: cudzołóstwo (w pewnych określonych warunkach), opuszczenie, odmowa środków utrzymania, więzienie wyżej lat pięciu lub hańbiące przestępstwo, życie rozwiązłe, zajęcie hańbiące, pijaństwo i narkomania, weneryczne choroby w stadium zaraźliwym, umysłowa choroba, niemoc płciowa bez względu na czas jej powstania. (Nie można

powoływać się na niemoc płciową osoby, która przekroczyła 50 rok życia, oraz osób, które od 10 lat pozostają w związkach małżeńskich).

Art. 61. Sąd orzeka rozłączenie na czas nieograniczony i ustala, czy i która ze stron ponosi winę.

Art. 62. Małżonkowie rozłączeni nie mogą wstępować w nowy związek za życia drugiej połowy.

Art. 71. Domniemanie ojcostwa nie ma zastosowania względem dziecka poczętego podczas rozłączenia małżonków.

Art. 77. Po upływie 3 lat od uznania małżeństwa za rozłączone, sąd na żądanie jednego z małżonków orzeknie zamianę rozłączenia na rozwód, przez co małżeństwo ustaje.

Sąd może, na żądanie drugiego małżonka, odmówić zamiany na rozwód, jeżeli uzna, że dobro małoletnich dzieci stoi temu na przeszkodzie.

Sąd, na żądanie osoby rozłączonej wyrokiem prawomocnym, może ze względu na okoliczności sprawy skrócić powyższy termin 3 lat wedle uznania.

Art. 78. Osoba rozwiedziona może wstąpić w nowy związek małżeński.

Art. 79. Żona wraca do nazwiska panińskiego; jeżeli ma małoletnie dzieci nazwiska męża, sąd może jej przyznać zachowanie nazwiska nabytego przez małżeństwo.

Oto najbardziej zasadnicze postanowienia nowej ustawy małżeńskiej. Kilkanaście artykułów, a jakież olbrzymi krok na drodze uczciwości i prawdy. Czyn tym godniejszy uznania, że

tutaj, jak i w swoich innych pracach, komisja kodyfikacyjna wyprzedza niejako nasze społeczeństwo. Zamiast znaleźć poparcie w jego głosach, w jego żądaniach, pracuje wśród powszechnej bierności, wlecze ze sobą ogół niezdolny do myślenia o sobie.

Aby to sobie uprzytomnić, wystarczy zwrócić uwagę na jedną okoliczność. Nową ustawą małżeńską powinny by się przede wszystkim interesować kobiety. Wszelka ustawa małżeńska jest – poza ochroną dziecka – ochroną kobiety; chodzi o to, czy dobrze spełnia zadanie. Bo o ile wedle litery kodeksu oboje małżonkowie stanowią równorzędne jednostki, o tyle w życiu jakże inną linią biegnie życie kobiety a mężczyzny, jakże odmienne są tego życia warunki, szanse i fluktuacje. O ileż głębiej wszystko, co dotyczy małżeństwa wrzyna się w życie kobiety. I uderzyło mnie jedno: w komisji, która układała ten projekt, nie ma – oczywiście! – ani jednej kobiety: czy przynajmniej zasięmano opinii kobiety w charakterze bodaj rzeczoznawcy? Prawda, że ta ustawa to jest rama ogólna, że o szczegółach będzie rozstrzygał w każdym wypadku – sąd. Sąd, sędzia... znów mężczyzna. Jakże teoretyczne jest jeszcze równouprawnienie kobiet!

I przypomniała mi się taka scena. Przed kilku miesiącami zaproszono mnie do pewnego stowarzyszenia kobiecego na wieczór dyskusyjny. Z ciekawości poszedłem. (Trochę to przypominało jeszcze *Emancypantki* Prusa i ową uroczą scenę, gdy jedna z uczestniczek na próżno domaga się

prawa głosu, bo zawsze spychają ją z porządku „wnioski nagłe” i „wnioski w kwestii formalnej”. Czeka i czeka cierpliwie w poczuciu praworządności – w końcu, po dwóch godzinach, uzyskuje to prawo głosu, aby... powiedzieć, że lampa filuje, czego w ferworze dyskusji nikt nie zauważył). Otóż były tam na porządku dziennym dwa referaty. W pierwszym wybitna prawniczka referowała właśnie nową ustawę małżeńską, do której jakimś sposobem udało się jej dotrzeć; w drugim znakomita powieściopisarka mówiła ogólnie o stosunku kobiet do miłości. Następnie otwarto dyskusję. Można było przypuszczać, że dyskusja będzie tyczyła głównie pierwszego punktu, zwłaszcza że chodziło o postanowienie jakiejś akcji w tej sprawie; podczas gdy drugi punkt – kobieta i miłość – zdawał się raczej rzeczą osobistą i mniej nadającą się do publicznych roztrząsań. Tymczasem – o dziwo! – nikt nie zażądał głosu w sprawie nowej ustawy małżeńskiej, natomiast nie można było nastarczyć z udzielaniem głosu paniom i panienkom, które wygłupiały się na temat, że każda kobieta ma prawo do „wielkiej miłości” itd.

Niewiele tedy może liczyć komisja kodyfikacyjna na pomoc społeczeństwa. A jednak trzeba sobie powiedzieć: od stworzenia tej ustawy do jej powołania do życia droga jest jeszcze długa i ciężka. Jeżeli społeczeństwo chce tę ustawę mieć, jeżeli chce w praktyce rozwodów, niestety (mówię *niestety*, bo wcale nie jestem entuzjastką rozwodów, jak mi to wmawiano!), niestety nieuchronnych – wyjść z dotychczasowego bagna szalbierstw,

łupiestwa i niesprawiedliwości, będzie musiało o to walczyć.

Rozmawiałem o tej ustawie z jednym z naszych dygnitarzy. Pytałem go, czy sądzi, że nowa ustawa przejdzie. Wzruszył ramionami. – Czy ja wiem? odparł. Go tu gadać. To jest przede wszystkim kwestia pieniężna. Kler na tym dużo traci. *Jura stolae* trzeba by odszkodować. To są duże sumy. Skąd na to wziąć pieniędzy? *Nervus rerum*, w tym rzecz, wszystko inne idzie dopiero potem...

Zwracam uwagę, że to nie ja mówię, ale ów dygnitarz.

# „Łopatologia”

Wpadł mi w rękę fachowy artykuł p. Henryka Jasińskiego w „Przeglądzie Współczesnym” pt. *Na marginesie nastrojów kryzysowych trwałe wnioski z przemijających doświadczeń*, poświęcony „regulacji urodzeń”. Autor z tak sympatycznym uznaniem powołuje się na moje artykuły w tej sprawie, że przypomniało mi to ją i dodało bodźca, aby powrócić do niej raz jeszcze.

Czemu w „Wiadomościach Literackich”? – zapyta ktoś. Właśnie w „Wiadomościach Literackich” jest dla niej miejsce. Dla dwóch przyczyn. Po pierwsze, jak słusznie podnosi autor wspomnianej rozprawki, najważniejsze tu jest poruszenie opinii, zmiana nastawienia i nastrojów, oczyszczenie gruntu z zastarzałych narowów myślowych, z narosłych wiekami całymi fałszów i komunałów. I gdzież to robić przede wszystkim, jeżeli nie w piśmie literackim, organie tych, którzy powinni być najczulsi na objawy życia, których zadaniem jest tworzenie opinii.

A drugi powód, czemu miejsce dla tej sprawy jest w piśmie literacko-artystycznym, to że zagadnienie populacji wiąże się najściślej z kulturą kraju. Bez usunięcia tej bolączki, tak jak tkwimy po uszy w owej „pauperyzacji materialnej”, o której mówi prof. Adam Krzyżanowski (*Pauperyzacja Polski współczesnej*), tak będziemy się osuwali coraz głębiej w

pauperyzację duchową.

Mimo że wypowiadałem się nieraz w tej kwestii i mimo że p. Jasiński parę razy cytuje moje formuły, pozwolę sobie znów ja cytować jego. W ten sposób będzie poważniej.

Otóż, zdaniem p. Jasińskiego, zarówno w kwestii mieszkaniowej jak w kwestii rolnej, jak w wielu innych wreszcie, wszelkie środki zaradcze, których się szuka, będą złudne, dopóki się omija to, co jest główną przyczyną złego, tj. nadmierną produkcję ludności w Polsce. Mimo że tę „horrendalnię” – jak mówi – wysoką ilość urodzeń reguluje poniekąd wysoka śmiertelność niemowląt, i tak jest ona ogromna. Powoduje to nędzę i zbrodnię. W tym polskim przyroście ludności, którym dudki tak się chełpią, szukają nasi uczeni głównego źródła różnic przestępczości, która np. *w całej Szwecji daje sześćset spraw karnych rocznie, a u nas dziesięć tysięcy w samej tylko Warszawie.*

Jedynie tedy – wywodzi p. Jasiński – ograniczenie przyrostu może być lekarstwem, wszystko inne jest okłamywaniem samych siebie. Pierwszym zadaniem jest uświadamiać w tej mierze ogół, wciąż o tym przypominać:

„Uporczywe przypominanie i powtarzanie przy każdej sposobności jest tu tym bardziej konieczne, że chodzi o pewne wnioski oczywiste i zgodne z elementarnie logicznym rozumowaniem, ale sprzeczne z głęboko zakorzenionymi nałogami myślowymi, a wskutek tego niepopularne, niechętnie słuchane, skwapliwie usuwane poza obręb świadomości albo też zbywane, nawet przez ludzi nieraz poza tym rozsądnych, za pomocą tanich

sofizmatów albo zdumiewających swą niefrasobliwością koziółków myślowych”.

Wszystko się zmieniło; to, co było niegdyś siłą – stało się słabością; co było bogactwem – stało się nędzą; co było błogosławieństwem – stało się przekleństwem; ale mimo zupełnej zmiany okoliczności zabobon płodności trwa.

„Dowodzi to – mówi p. Jasieński – iście zdumiewającej bezwładności ludzkiego umysłu, który do pojęć raz wytworzonych w jakichś długo działających warunkach odnosi się już nadal jako do czegoś raz na zawsze ustalonego i słusznego, choćby te pojęcia w warunkach zmienionych stały się już dawno całkowicie zbędne i w skutkach swoich najoczywiściej szkodliwe”.

Religia – największy wróg regulacji urodzeń – częściowo ustąpiła z tego stanowiska. Niedawny zjazd anglikańskich biskupów w Londynie<sup>3</sup> oświadczył się za regulacją. Mimo to, powtarza się bezmyślnie, że jest ona spreczna z

---

<sup>3</sup> *Religia (...) częściowo ustąpiła z tego stanowiska* – Biskup Liverpoola, dr David, ogłosił świeżo książkę pt. *Małżeństwo a regulacja urodzeń* przeznaczoną, wedle jego słów, na to, „aby myślącym ludziom pomóc, jak chrześcijańską naukę we właściwym sensie stosować i jak ją dostosować do współczesnych zagadnień życia oraz osobistych problemów”. „Obie wersje angielskiego modlitewnika stwierdzają, powiada biskup, że małżeńskie obcowanie płci ma, obok rozmnażania się, jeszcze inne cele. Rodzice mają nie tylko prawo, ale i obowiązek regulować przyrost dzieci i liczbę ich utrzymywać w możliwych granicach. Z odpowiedzialnością za nadmierną ilość dzieci rodzice nie mogą załatwić się słowami: „Dzieci Bóg zysła”. Skoro małżeństwo uznaje równe prawa obu stron, tedy żądanie, aby kobietę chronić od zajścia w ciążę, musi być uznane. Zdobytcze regulacji urodzeń dały nam moc, której nie powinniśmy odtrącać. Trzeba tylko tę siłę dobrze stosować”. [przypis autorski]

**etyką chrześcijańską.** Poglądów religii niepodobna zresztą dyskutować, ponieważ przesuwa ona cele człowieka i sens jego życia w inną sferę; nie dobro ludzi na ziemi jest jej przedmiotem. Dlatego trudną bywa nieraz współpraca państwa z religią, gdyż zadaniem państwa jest, bądź co bądź, ułatwiać ludziom życie – na tym świecie.

Stąd też te rozbieżności w interpretowaniu „etyki”. Dużo tu komu o etykę chodzi! Regulacja urodzeń od dawna uznana za sprawę użyteczności publicznej w Holandii, od dawna najszerszej praktykowana w Skandynawii, świeżo popierana przez najkonserwatywniejszą Izbę Lordów w Anglii, tępiona jest w liberalnej Francji. Uznaje ją zjazd biskupów anglikańskich, a bojkotują ją protestanckie Niemcy. Imperializm niemiecki i włoski, lęk Francji przed mnożnością sąsiadów, są przyczyną różnic w poglądach, które po staremu przemyca się pod flagą etyki; podczas gdy jest to sprawa przede wszystkim militarystyki, fałszywie zresztą pojętej, bo więcej z tej płodności mają więzienia, szpitale i cmentarze niż ministerstwa wojny.

Gdy chodzi o uświadamianie naszego ogółu w tej mierze, nastrecza się parę uwag. Regulacja urodzeń – mimo że ma odrębne swoje znaczenie i doniosłość – jest tylko fragmentem wielkiego ruchu, jaki dokonuje się w świecie pod znakiem reformy życia płciowego. Istnieje światowa liga tej reformy, odbywają się kongresy, biorą w ich pracach udział najwięksi pisarze. U nas prawie nic się o tym nie wie, nie mówi się o tym, nie pisze. Nie tylko nie ma żadnej organizacji, ale nie ma żadnych

informacji. Dzienniki nasze, pochłonięte walkami politycznymi, nie zdają sobie sprawy z tego, że sprawy obyczajowe ważniejsze są może nawet od formy rządu i od brzmienia konstytucji.

Nie ma dziś w Polsce sprawy gwałtowniejszej, ważniejszej. Powinno się o niej mówić wciąż, krzyczeć, uświadamiać, działać. Powinno by się sporządzić rodzaj katechizmu i rozrzucić go w milionach egzemplarzy. Trzeba tam uczyć, że:

1) Płodność, którą lubimy się chełpić, jest blichтром i klęską; jest w znacznej mierze złudna, ponieważ konsekwencją jej jest równoczesne zwiększenie śmiertelności dzieci. Otóż dziewięciomiesięczna ciąża, karmienie i hodowanie dziecka skazanego na śmierć jest olbrzymim ubytkiem kapitału, nieszczęściem rodziny, ruiną sił matki.

2) Nadmierna ilość dzieci chowanych w ciasnym mieszkaniu, bez powietrza i słońca, najczęściej niedożywionych, stale zmniejsza wartość materiału ludzkiego. Nadmiar umiera, upośledzenie zostaje.

3) Niemniej odbija się to na stronie moralnej. Ojciec zapracowany dla zbyt licznej rodziny, matka zajęta wciąż nowym rodzeniem, nie mogą się oddać wychowaniu dzieci, które chowają się same, jak mogą – często w ryzsztoku.

4) Zapobieganie ciąży jest najskuteczniejszym środkiem przeciw pladze poronień, których roczna liczba dochodzi wielu kroć tysięcy.

5) Regulacja urodzeń jest najskuteczniejszym środkiem zmniejszenia statystyki dzieciobójstwa, samobójstw, nieślubnych

dzieci, małoletnich zbrodniarzy i wreszcie – nędzy!

6) Zgodne porozumienie się celem ograniczenia ilości urodzeń jest rozwiązaniem współzycia narodów.

7) Zwalczenie akcji regulacyjnej jest typową **podwójną moralnością**, bo ci, co zbożnie zachwalają płodność, sami, chociaż lepiej sytuowani materialnie, strzegą się licznych rodzin i korzystają z wszelkich zdobyczy nauki w tej mierze.

8) Regulacja urodzeń, ograniczając bezmyślną mnożność proletariatu i podnosząc tym siłę ekonomiczną kraju, może dodatkowo wpłynąć na dietność tej części inteligencji, która dziś, spauperyzowana, a lepiej uświadomiona, chroni się przed dzieckiem, ile może.

Szkicuję tutaj tylko kilka punktów, które należałoby dopełnić i rozpowszechnić wszystkimi sposobami. Tymczasem odbywa się zacięta propaganda w duchu wprost przeciwnym. Straszliwym faktom, głosowi nauki, koniecznościom życia, przeciwstawia się puste słowa.

Mówi się o pobudkach religijnych, wzbraniających zapobiegania ciąży. To chyba żarty! Nie ma tak pobożnej kobiety, która by to brała serio. (Druzgocących dowodów na to dostarczył świeży spis ludności. Okazało się, że w Poznańskim, tej ostoi klerykalizmu, przyrost wynosi zaledwie 2%, podczas gdy są dzielnice, w których dochodzi 30%. Nie religia zatem, ale po prostu wyższy lub niższy stopień kultury jest tu decydujący). Na ogół wszystkie robią, co mogą, aby uniknąć niepożądaney ciąży. Używają licha wie czego. Rzecz tylko w tym, że nie znają

sposobów lub używają ich źle; że mimo ich używania zachodzą w ciążę i wówczas, o ile warunki nie pozwalają im na urodzenie dziecka, po prostu ronią, „psują się”, jak to nazywa straszliwie obrazowy język ludu.

Agitacja za regulacją urodzeń w Niemczech, w Anglii, w Ameryce, trwa od dziesiątków lat. W wielu krajach zwyciężyła całkowicie, w innych częściowo; w niektórych zahamowana jest przemocą. U nas nie robiło się w tej mierze nic, mimo że żadne prawo tego nie zabrania. Na szczęście, zaczyna się robić. *Sekcja regulacji urodzeń przy Robotniczym Tow. Służby Społecznej* otworzyła pierwszą poradnię; urządziła pierwszy wieczór dyskusyjny na ten temat; wydała broszurę napisaną przez lekarza pt. *Skuteczne i nieszkodliwe środki zapobiegania ciąży*. Lada dzień ma być otwarta poradnia samorządowa w Łodzi.

Pisałem zresztą o tej sprawie<sup>4</sup> nieraz; a z faktów, które zestawilem, nietrudno chyba ocenić znaczenie regulacji urodzeń dla poziomu kulturalnego naszego kraju. Weźmy dwie rodziny: jedna ma, w ciągu pewnej ilości lat, troje dzieci; druga, w ciągu tej samej ilości lat, ośmioro dzieci, z których pięcioro odumrze, a troje się wychowa. Jasne jest, że choroby, ciążę, porody, karmienie, grzebanie, troski, bieda, pochłoną całą nadwyżkę materialnego i moralnego budżetu, która mogłaby pójść na jakiegokolwiek potrzeby duchowe.

---

<sup>4</sup> Pisałem (...) o tej sprawie – *Zmysły, zmysły...* i broszura *Jak skończyć z piekłem kobiet?* [przypis autorski]

Sądzę tedy, że dostatecznie wylegitymowałem się z przyczyn, dla których pozwoliłem sobie czytelników pisma literackiego zająć kwestią, o której zresztą teraz będzie coraz głośniej; – jestem tego pewny. Obowiązkiem każdego jest zapoznać się z nią, przemyśleć ją, a jeżeli dojdzie do przeświadczenia o jej ważności, powinien współdziałać w dążeniu do naprawy. A działać tu może każdy, gdyż, jak zaznaczyłem, chodzi przede wszystkim o przemianę pojęć; o to, aby akcja podjęta w tym kierunku spotkała się ze zrozumieniem. Skoro to nastąpi, w ciągu jednego czy dwóch pokoleń, Polska może inaczej wyglądać.

# List biskupi

Dziwiesięciu biskupów wydało list pasterski w sprawie projektu nowego kodeksu karnego (w szczególności art. 231) oraz w sprawie poradni *Świadomego Macierzyństwa*. List ten nastrocza mi parę uwag.

Jedną ze zdobyczy współczesności jest oddzielenie religii od spraw politycznych. Bardzo niewyjaśniony jest natomiast zakres ingerencji kleru do spraw społecznych. Raz po raz, kiedy czynniki państwowe – czy inne świeckie – rozumiejąc niecelowość lub szkodliwość pewnych urządzeń i ustaw, widząc płynące z nich nieszczęścia i zło, chcą zmienić coś na lepsze, zestroić z wymaganiami życia, kler zakłada swoje *veto*. Że jednak argumenty, jakimi się w tym posługuje, zacierają najczęściej samą zasadę konfliktu, sędzę, że z pożytkiem będzie nieco rozjaśnić te sprawy.

Troski państwa a kościoła są bardzo różne. Państwo – pomijając nawet fakt, że najczęściej jest zbiorem jednostek rozmaitych wyznań – ma za przedmiot swoich starań byt człowieka **na ziemi**. Celem jego jest zmniejszenie cierpień, zapewnienie swoim obywatelom maximum zdrowia, dobrobytu, oświaty. Kościół natomiast – gdyby jego politykę brać najidealniej – ma zadania zgoła inne. Życie doczesne ludzi jest dlań jedynie chwilką wobec wieczności za grobem; z tej perspektywy wszystkie męki doczesne są bez znaczenia, a nawet

mogą być pożądanę, o ile zbliżają do nagród wiekuiŝtych, do których znowuż pierwszym warunkiem jest przestrzeganie nakazów kościoła.

Każde z tych dwu stanowisk ma swoją logikę, ale pogodzenie ich bywa niezmiernie trudne.

Nawet tam, gdzie kościół wchodzi w świeckie potrzeby obywateli, sposoby jego działania jakże są różne od sposobów państwa! Tak np. w pałacej sprawie bezrobotnych, kościół może się ograniczyć do zarządzania mszy świętej na ich intencję; ale trudno sobie wyobrazić ministra skarbu, który by nakazał swoim urzędnikom trzydniowy post na intencję poprawy bilansu handlowego.

Rozbieżność tę najlepiej zilustruje pewne wspomnienie, wyniesione z dawnych czasów, kiedy byłem lekarzem w szpitalu dla dzieci. W szpitalu tym mieściły się wszystkie oddziały, od chirurgii do chorób zakaźnych. Zmorą wiszącą wciąż nad szpitalem była obawa rozwleczenia infekcji. Zwłaszcza szkarlatyny, co było najczęstsze i najgroźniejsze. Istotnie, cóż okropniejszego dla lekarzy, którym rodzice oddali zdrowe dziecko dla jakiejś drobnej operacji – przepukliny lub skrzywionej nóżki – a które ginie, zaraziwszy się w szpitalu szkarlatyną! Toteż surowe przepisy obowiązywały zarówno lekarzy jak służbę: lekarzom, którzy pracowali na oddziale zakaźnym, nie wolno było zachodzić na inne oddziały; służbie nie wolno było stykać się z resztą personelu.

Otóż przepisy te nie obejmowały tylko jednego czynnika:

zakonnice. Siostry zakonne pielęgnujące chorych schodziły się – ze wszystkich oddziałów – po kilka razy dziennie w kaplicy na wspólne modlitwy, jak nakazywała ich reguła. Siostry nie nosiły kitlów płóciennych, bo tego nie przewidywała reguła; ba, reguła przepisywała, że ich suknie zakonne i cała odzież ma być wspólna! Siostry nie podlegały przepisom o dezynfekcji i antyseptyce.

W rezultacie mordercza szkarlatyna raz po raz wybuchała w szpitalu. Wówczas stary profesor wzywał podwładnych, mówił kazania, burczał, zrzedził; jednego tylko się nie poruszało: sprawy zakonnice. A kiedy który z młodych lekarzy o tym natrafił, profesor, wściekły, odwracał rozmowę. Wiedział, że tu nic nie zmieni, nie czuł w sobie energii do walki, jaką by trzeba podjąć, wołał o tym nie myśleć. Istotnie, cóż znaczyły dla sióstr jakieś nowinki nauki Pasteura wobec reguły, która wiodła się od przedwiecznych i świątobliwych założycieli zakonu.

Spójrzmy teraz na to z punktu sióstr; znam ten punkt widzenia dobrze, bo nieraz z nimi rozmawiałem. Zachorowanie dziecka na szkarlatynę było dla nich po prostu dopustem bożym; bez woli bożej nie nastąpiłoby; toteż na całą naszą antyseptyczną krzątaninę siostry patrzyły z politowaniem. Przypuszczać, że wspólna modlitwa sióstr może być rozsadnikiem zarazy, to trąciło bluźnierstwem. Skoro jedno lub drugie dziecko umarło, widać tak było trzeba dla dobra jego i jego rodziców; cóż zresztą mogło się trafić szczęśliwszego niewinnemu dziecku, niż umrzeć w chwili, gdy ma zapewnione niebo, nim doszło wieku

niebezpieczeństw, które czyhają na duszę człowieka.

Oto *credo*, które siostrzyczki głosiły w całej naiwnej czystości. Ma ono swoją niezłomną logikę i swoje piękno, tylko jak je pogodzić z lekarskim – świeckim – przeznaczeniem szpitala? Toteż gdy te anioły czuwały przy zmarłym dziecku z oczami wpatrzonymi w niebo, nam lekarzom zdarzało się słyszeć z ust zrozpaczonych rodziców wyrzut: „Zbrodniarze!”.

Te siostrzyczki przychodzą mi na myśl nieraz, gdy czytam pewne dostojne orędzia w sprawach społeczno-lekarskich...

A teraz drugi obrazek z tego samego szpitala. Jeden z oddziałów szpitala stanowił „klinikę”, przeznaczony był dla pracy naukowej. Otóż młody asystent (dziś jest profesorem), pełen miłości wiedzy, świeżo wróciwszy z zagranicy, chciał wprowadzić postępowy naówczas sposób mierzenia temperatury niemowlętom w kiszce stolcowej, jak się to robi we wszystkich klinikach, gdyż inny sposób jest u małych dzieci bezwartościowy z punktu ścisłości naukowej. Zakonnice nie tylko odtrąciły to z oburzeniem, ale zbuntowały służące szpitalne, które również oświadczyły, że takiego „paskudztwa” robić nie będą. Asystent odwołał się do profesora; profesor interweniował: bezskutecznie. Raz po raz łapiąc służbę szpitalną na nieposłuszeństwie, stary rektor Jakubowski wyrzwał wreszcie termometrem o ziemię. „Proszę siostry – rzekł do głównej organizatorki *biernego oporu* – jeśli tak będzie dłużej, to mnie w końcu diabli wezmą”. – „To będzie inny pan profesor” – odrzekła siostra, spuszcżając oczy z uśmiechem chrześcijańskiej rezygnacji.

Świeżo ogłoszone orędzie biskupów w jednym przynajmniej sprawę stawia jasno. W projekcie nowego kodeksu chodziło o to, aby wskazania do przerywania ciąży – dotąd tylko lekarskie – rozszerzyć na tzw. *społeczne*. Otóż orędzie biskupów wyraźnie stwierdza, że nie uznaje *nawet wskazań lekarskich*, przyjętych – jak wiadomo – od bardzo dawna przez wszystkie kodeksy świata. Wedle tego orędzia, *w żadnym wypadku*, nawet gdy chodzi o życie matki, przerywanie ciąży nie jest dopuszczalne. To bardzo cenne wyznanie. Próba cofnięcia sprawy na tak okrutne i nieżyciowe stanowisko jest dobitnym stwierdzeniem, że między stanowiskiem ludzkości i nauki a stanowiskiem kleru wszelki kompromis jest daremny i że żadne ustępstwa w sprawie nowego kodeksu nie mogłyby kościoła zaspokoić. Najlepiej tedy będzie, gdy każdy pozostanie przy swoim; państwo dbając o doczesne dobro obywateli, kler zapewniając im szczęśliwą śmierć sposobami, jakimi rozporządza, ale bez odwoływania się do pomocy panów prokuratorów.

Ale kościół nie poprzestaje na stanowisku dogmatycznym; pragnie umotywować je względami świeckimi. Ucieka się do argumentacji „racjonalistycznej”; mówi o populacji, o pożytku ojczyzny, powołując się na *statystykę!* Co do tych rzeczy, to lepiej by je zostawić czynnikom bardziej powołanym, i to w interesie samej powagi naszego episkopatu. Nie bardzo wypada, aby orędzie podpisane przez dziewięciu biskupów zawierało rzeczy, które muszą przyprawić o parsknięcie śmiechem nawet skromnie oświeconego człowieka, gdy np. w nim wyczyta, iż

„z racji tych zabiegów, w Rosji sowieckiej już 37% kobiet jest niepłodnych”!! Skąd te humorystyczne cyfry? Zdaje mi się, że zgaduję skąd: słyszeliśmy to w słynnej interpelacji<sup>5</sup> senatora Thullie. Ale że dziewięćdziesięcioletniemu staruszkowi coś się przyśniło, z tego nie wynika, aby dziewięciu biskupów miało to powtarzać i sygnować swoim nazwiskiem.

W ogóle, kiedy się czyta to orędzie, można by mniemać, że „święta Tulia” jest u nas papieżem. Bo znowuż, jak za panią matką pacierz, orędzie to powtarza za senatorem Thullie baśnie o poradni *Świadomego Macierzyństwa*. I w jakich słowach!

„Bóg – powiada orędzie biskupie – dał wolność ojczyźnie, a jej dzieci chcą dla niej nowy grób wykopać. Już nawet kopią, bo w myśl tego projektu (dozwalającego w pewnych warunkach poronień), powstają poradnie działające publicznie. Rodzice prawdziwie katolicy, prawdziwie kochający Ojczyznę, nigdy pod żadnym pozorem nie powinni iść za tą wstrętną, iście szatańską pokusą”.

Słyszeliśmy już to w senacie. Ale jest różnica. Kiedy prof. Thullie wnosił swą interpelację, mógł ostatecznie być źle poinformowany. Starzy ludzie bywają lekkomyślni. Ale od tego czasu rzecz była dokładnie omówiona i wyjaśniona w prasie; ja sam zamieściłem parokrotnie odpowiedź. I oto znowu orędzie biskupie swoje klątwy na poronienia miota w kierunku poradni... przeciwporonieniowej. Nie mogąc tak dostojnego ciała podejrzewać o złą wiarę, musimy przypuszczać,

---

<sup>5</sup> w słynnej interpelacji – Patrz *Dokumenty*, na końcu. [przypis autorski]

że dziewięciu biskupów znów nie raczyło się poinformować w sprawie, w której głos zabiera. A jednak, z punktu widzenia chrześcijańskiego, sądzić by należało, że zanim się coś nazwie *dziełem szatana*, godzi się wprzód dowiedzieć, o co chodzi.

Oczekujemy tedy z całą ufnością, iż czcigodni biskupi *lepiej poinformowani* pośpieszą naprawić błąd przeciw miłości bliźniego, popełniony przez tychże biskupów *źle poinformowanych*. To będzie bardzo piękny przykład dany *Katolickiej Agencji Prasowej*, która wolałaby duszę zgubić, niż sprostować cokolwiek, kiedy jej się zdarzy minąć z prawdą.

## Drugi list biskupi

Zaledwie przebrzmiało echo gromów rzuconych przez dziewięciu biskupów na komisję kodyfikacyjną z powodu pewnych paragrafów kodeksu karnego, a oto znowu dwudziestu pięciu biskupów ciska w nowym liście anatemę na tęż komisję za jej projekt ustawy małżeńskiej. I w jakich słowach!

„Zamierzone prawo jest sprzeczne z prawem bożym. Zamierzone prawo jest posiewem bolszewizmu u nas w rodzinie. Zamierzone prawo grozi ojczyźnie śmiertelną zarazą duchową i ostateczną klęską. Obcy zaleją ziemię naszą! – Co nie daj Boże”.

Tymi słowami kwalifikuje list biskupi rezultat kilkoletniej pracy ludzi o najlepszej woli, którzy czynili, co mogli, aby w projekcie swoim pogodzić pojęcie ludzkich praw i uczciwości z poszanowaniem dla przywilejów religii.

„My, biskupi – czytamy dalej w liście – zebrani w Częstochowie w październiku b. r., modliliśmy się przed cudownym ołtarzem Matki Boskiej, prosząc Ją o pomoc, aby to zło zagrażające ojczyźnie naszej zostało usunięte. Do modlitwy i to ustawicznej wzywamy was wszystkich, kapłani i wierni Kościoła Świętego... aby za wstawiennictwem Najświętszej Marii Panny świętość i nierozzerwalność Sakramentu małżeństwa zachowane zostały. Matko, królowo korony naszej, błogosław Twojej krainie, błogosław Twoim dzieciom. Amen”.

Mój Boże! Kiedy to czytam, znowuż nasuwa mi się

przypowieść z lat dawnych. Był swego czasu w Galicji słynny ksiądz Stojałowski, działacz ludowy, głęboki znawca psychologii naszego chłopca, niezwykły gracz na wiecach. Otóż w rozstrzygających momentach, kiedy nastrój zebrania był wątpliwy, miał on niezawodny sposób. Stawiając wniosek, poddawał go pod głosowanie tak: „Dzieci, kto jest za wnioskiem, ten klęknij tu ze mną i zaśpiewaj *Serdeczna Matko*”. I klękał. Któryż chłop, widząc, że ksiądz klęka, aby zaintonować *Serdeczna Matko*, nie klęknij i nie zaśpiewaj chórem? Odśpiewawszy, ten wyga nad wygami wstawał z klęczek, rozglądał się po sali i mówił: „Zatem wniosek przeszedł”.

Podobnie tutaj. Cóż zrobi prof. Lutostański, twórca nowej ustawy małżeńskiej? Ot, wygłosi jakiś odczyt w towarzystwie prawniczym i tyle. Nie włoży infuły, ani Rappaport nie wyjdzie przed nim w komeżce i z dzwonkiem. Nierówna walka.

Ale znam ludzi, którzy czytali ten list biskupi nie bez uczucia pewnej grozy. To ci, którzy albo sami, albo ich krewni i bliscy znajomi, brali katolicki rozwód, czyli tzw. „unieważnienie małżeństwa”; ci, którzy dokładnie poznali kulisy i kosztorysy *nierozzerwalności*. Ci mogli słusznie podziwiać, że biskupi się nie boją, aby w chwili, gdy wymawiają te zaklęcia, piorun z nieba nie spadł i nie spalił konsystorzów, w których w tej samej chwili może pracuje – i jakimi sposobami! – armia fachowców nad „rozłączaniem tego, co Bóg złączył”. I cały patos dostojnego orędzia nie zmieni tego, co mówią fakty: o *nierozzerwalności*

małżeństwa nie może tu być mowy, może chodzić jedynie o monopol w jego rozrywaniu oraz o ograniczenie tego przywileju na ludzi bogatych.

I dlatego owe uroczyste modły o to, aby jedynym i wyłącznym sposobem rozstrzygnięcia jednej z najważniejszych spraw życiowych pozostało nadal w Polsce świętokradztwo i symonia, robią niesamowite wrażenie...

# Nasi okupanci

Termin użyty w tytule nasunął mi się, kiedy czytałem enuncjację ks. prymasa Hlonda. Istotnie, kiedy się czyta ten list w sprawie nowej ustawy małżeńskiej, przechodzący w gwałtowności swojej znane orędzie 25 biskupów, ma się wrażenie, że to mówi przedstawiciel postronnego mocarstwa, rezydujący w naszym kraju, ale obcy, przemawiający tonem władcy. Mamy już w naszej historii takie smutne wspomnienia...

„Już z okazji ostatniego święta papieskiego – pisze ks. prymas – napiętnowałem niesłychany projekt ustawy o małżeństwie jako zamach... jako zuchwałą próbę... wydania rodziny polskiej na bezceństwa bolszewizmu... Komisja kodyfikacyjna ośmieliła się jednak zlekceważyć... Nie można dość stanowczo odeprzeć tych haniebnych zakusów”... I tak dalej.

*Napiętnowałem... zuchwałą... bezceństwa... ośmieliła się... haniebne zakusy...* Co słowo, to obelga; i to, dzięki duchownemu charakterowi ks. prymasa, wolna od rygorów Boziewicza<sup>6</sup>. Tak przemawia rzymski dygnitarz do wielkiego ciała najpoważniejszych prawoznawców, powołanych przez polski rząd celem przygotowania nowych ustaw!

„Bolszewizm”... Wszystko bolszewicy. Wiemy już teraz, co pod tym tak nadużywanym słowem rozumieć. Hektorowie,

---

<sup>6</sup> Boziewicz – autor *Polskiego Kodeksu Honorowego*, zawierającego zasady postępowania honorowego, w tym reguły dotyczące pojedynków. [przypis edytorski]

profesorowie uniwersytetu, sędziowie i prezesi Sądu Najwyższego, to wszystko są bolszewicy, nie mający innej troski, jak tylko wydać rodzinę polską na bezceństwo. Wszyscy; – bo projekt ustawy przeszedł jednomyślnie. Nawet najwierniejszy z wiernych, cnotliwy prof. Makarewicz, też odtrącony i pohańbiony jako bolszewik! Któż tedy został sfanatyzowanym biskupom? Święta Tulia i święta Zyta. Ale nie lekceważmy tego. Wspominałem o swoistym sposobie, w jaki niegdyś ksiądz Stojalowski poddawał wnioski pod głosowanie na wiecach. Nie przeczuwałem, że tak wiernie skorzystają księża biskupi z jego recepty: już zarządzone we wszystkich kościołach śpiew *Pod Twoją obronę* przeciw projektowi komisji kodyfikacyjnej...

Są w tej sytuacji osobliwe paradoksy. Oto np. państwowe radio nadaje obelżywe kazania, wymierzone przeciw projektowi państwowej komisji. Rząd najwyraźniej wydaje na łup swoją komisję kodyfikacyjną. „Oni jej nie uważają za swoją (tak mi tłumaczył ktoś znający stosunki); w tej komisji nie ma ani jednego pułkownika”. Zapewne, to jest argument; niemniej ta miękkość rządu, który aż nadto twardą ręką umie bronić swego autorytetu, musi tutaj zastanowić.

Milczą wszystkie pisma; albo milczą, albo zachowują wstydlivy „obiektywizm”. Nawet nasze sławne dzienniki – Boże zmiłuj się! – *masońskie*. Milczy socjalistyczny *Robotnik* który, odkąd został ciurą klerykalnej endecji, pilnie się strzeże, aby niczym nie zamącić harmonii „wspólnego frontu”. Słowem, dzienniki informują nas co dzień o wszystkich najdalszych

wypadkach i katastrofach, ale nie mówią o tym, co społeczeństwa najbliższej dotyczy.

A biskupi szaleją. Niedługo czekaliśmy na skutki konkordatu, owego niepoczytalnego konkordatu, dającego biskupom przywileje, jakich nie mieli w Polsce nawet w średniowieczu, konkordatu, który czyni z nich wyłącznie przedstawicieli Rzymu, luźnie związanych z naszym społeczeństwem, czujących się ponad naszym prawem.

I kiedy się czyta te orędzia, które spadają teraz jedno po drugim, uderzyć musi ich obcość, twardość. Nikt by nie pomyślał, że to chodzi przecież o dobro ludzi, ich owieczek. Oto np. orędzie w sprawie nowego projektu kodeksu karnego. Zupełnie słusznie mógłby ten projekt zainteresować naszych biskupów. Mogłoby ich np. poruszyć wprowadzenie kary śmierci, tak sprzecznej z przykazaniem *nie zabijaj*, mogłaby ich uderzyć bezsilność pewnych dążeń kodeksu wobec braku odpowiednich instytucji humanitarnych. Cóż za pole dla działania chrześcijańskiego! Otóż, nic z tego wszystkiego nawet nie zwróciło uwagi naszych prałatów; w całym kodeksie zainteresował ich tylko jeden punkt: mianowicie to, że w pewnych wypadkach nieszczęśliwa kobieta może być – o zgrozo! – zwolniona od kilkuletniego więzienia. Przeciw tej kobiecie wyruszyło aż dziewięciu biskupów z pastorałami. Poza tym – zdają się mówić – męczcie się, wieszajcie, więźcie, katujcie, co nas to obchodzi!

Druga rzecz – ustawa małżeńska. Kto zna nastrój i skład

komisji kodyfikacyjnej, jej oględność i umiarkowanie, ten zrozumie, że komisja ta aż nadto była skłonna iść na rękę rzecznikom kościoła w sprawie tej ustawy. Nawet jej projekt w tym właśnie wypadł niezręcznie, że chciał być zanadto kompromisowy; że zamiast jasno i stanowczo oddzielić stronę cywilną od kościelnej, starał się te dwie rzeczy, o ile można, skojarzyć. I jeżeli nasi kodyfikatory zdecydowali się w końcu wypuścić swój projekt bez aprobaty kleru, to widać dlatego, że wszystkie próby porozumienia okazały się daremne. A to, co ks. prymas Hlond i 25 biskupów przedstawiają jako „bolszewickie bezceństwa”, to jest po prostu zbliżenie się do tego, co istnieje we wszystkich krajach, co Królestwo Polskie miało przed stu laty, co b. zabór pruski – własna diecezja prymasa Hlonda – ma jeszcze dziś... Gdyby wierzyć ks. prymasowi, w całej Europie ludzie żyją jak zwierzęta! I tam jakoś kościół godzi się z istniejącym stanem rzeczy. Ale bo też w innych krajach nie ma mowy o tej *okupacji* znanej tylko w Polsce i – do niedawna – w... Hiszpanii.

O co zresztą chodzi? Jeżeli formuła komisji kodyfikacyjnej jest nie po myśli kościoła, można by się wszak porozumieć co do jej zmiany; ale cała rzecz w tym, że kler nie chce żadnego porozumienia, nie chce unormowania tej sprawy; nawet dzisiejszy chaos i chroniczny skandal stosunków prawnych są milsze niż jakiś porządek, o ile by ten porządek nie przyznawał mu absolutnego monopolu, cła i myta we wszelkich sprawach małżeńskich. Chodzi o to „ucho igielne”, przez które, wbrew

słowom Pisma, przechodzą jedynie bogacze...

I znów uderzyć musi ten twardy, nieludzki ton. Nic ich nie obchodzi cierpienia ludzi, demoralizacja, krzywda, zamęt prawny. Nigdy w tych orędziach nie zabrzmiała nuta współczucia. Cierpieć, męczyć się i... *placić*, to jedyna rola człowieka na tym ziemskim padole. Zwłaszcza *placić*. I to jest charakterystyczne: o wszystkim mówią te orędzia, tylko nie o kwestiach materialnych. Utałała się taka kurtuazja, bardzo wygodna; wobec kleru, który – zbiorowo czy pojedynczo – jest najbardziej nieubłagany, gdy idzie o sprawy pieniężne, stale przystoi udawać, że te rzeczy nie istnieją, że wszystko rozgrywa się w wymiarach zaziemskich.

Tak więc o cokolwiek chodzi, o szkolnictwo czy o kodeks karny, czy wreszcie o nową ustawę małżeńską, wszędzie ci nowi wielmożę przeciwstawiają się jakiegokolwiek zbawczej i koniecznej reformie, wszędzie nieubłaganie ścigają własne „mocarstwowe” cele, obce społeczeństwu, w którym żyją. Wiemy, czym straszą i co robią; ale co dają? Czym zmanifestowali swój udział, swoje istnienie w ciężkim okresie, jaki przechodzimy? Msza na intencję bezrobotnych; zeszpecenie jednego z placów projektem brzydkiego pomnika i – przede wszystkim – wyciskanie ostatniego grosza z biedoty na wszystkie sposoby. A grosz, który dostanie się do tego mieszka, już stracony jest dla obiegu!

# Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.